

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWY MILION.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

19

Nieopisany lęk wstrząsa Janką, ilekroć posłyszysz pod drzwiami szmer lub odgłos kroków. Przeczują, że wkrótce i ją zawezwą i wyprowadzą stąd. Obawia się i niecierpliwie czeka tej chwili, bo nie wie, co ją czeka jeszcze za drzwiami tego więzienia i czy jej pozwolą powrócić do wsi swojej rodzinnej, do Bretanii.

Na końcu korytarza, w celi mniejszej i ciemniejszej jeszcze, siedzi pani Wiktorya, w rozpaczliwym nastroju w towarzystwie swojej panny z magazynu Amelii. Pani Wiktorya zdaje sobie jasno sprawę ze swojej sytuacji. Zważywszy na kilkakrotnie już otrzymane kary, grozi jej conajmniej więzienie trzyletnie. Pociesza się jednak nadzieją, że będąc dobrze poinformowaną w stosunkach pewnych osobistości, które policja interesowała się silnie, będzie mogła w tym kierunku oddać dyskretne usługi i tym sposobem złagodzi swoje położenie i zasłużyć sobie na wdzięczność władz.

Pan Collin Megret zaś w celi swojej oddaje się smutnym rozmyślaniom, nie osłodzonym żadną nadzieją. Po spędzeniu bezsennej nocy na nędznym sieniaku wątpliwej czystości, poddano go drobiazgowemu egzaminowi. Dopełnił go lekarz więzienny, mierząc mu centymetrem nos, czoło, uszy, palce, wszystkie prawie członki ciała, uśmiechając się przytem zwycięsko.

— Ależ naturalnie — zawołał w końcu uradowany — nie mam już najmniejszej wątpliwości. To nasz dobry znajomy, pan Loequerel. Oto jego opis dokładny, zgadzający się przewybornie.

Pan Collin-Megret uzyskał tyle chociaż na rozpoznanie swojej osoby, iż przeniesiono go natychmiast do innej, obszerniejszej celi, znajdującej się na górnym piętrze.

W tem samem więzieniu odnajdujemy dawnego znajomego apasza Barykadę, postrach dzielnicy Sw. Marcina.

Dzień ten dla niego będzie również pamiętnym, gdyż dnia tego ma poraz ostatni stanąć przed sędziami, od których otrzyma wyrok ostateczny.

Barykada nie ludzi się wcale i jest zupełnie pewnym losu, który go czeka. Za wiele już zawinił i wolność jego bezkarna trwa już zadługo. Wyślą go do kolonii na resztę życia. Dla tego kolosa wół dzikiego, pragnącego ponad wszystko wolności, światła i przestrzeni, jest to okropna perspektywa. Ciała mała, duszna, ciemna, do której powietrze dochodzi jedynie przez rurę kanału! Za całe umeblowanie, twarde łóżko, stęchlą słomą zarzucone, bez koca, koszula z zgrzebnego płótna, brak obuwia i tytoniu!

Siedzi teraz w celi swojej tymczasowej i zaciska pięści z wściekłością, mrużąc jak zwierzę dziki. Oczy jego z pod zmarszczonego czoła rzucają błyskawice. Wie, że dziś zasądzonym zostanie, więc czeka. Drzwi celi otworzyły się, dając przejście dozorcóm. Weszli ostrożnie, jak do klatki lwa, którego ujarzmić mają. Barykada w tej chwili leżał na posłaniu, bez ruchu, z pod oka spoglądając na swoich oprawców, którzy mieli go zawieźć do sali sądowej. Na pierwszy dany rozkaz powstał posłusznie i potulny, jak baranek, pozwolił się zabrać bez oporu. Dozorcy spoglądali na niego z niedowierzaniem, przyzwyczajeni bowiem do innego obejścia. Wyszli na podwórze więzienne i tam w towarzystwie kilku innych przestępców i kilku dozorców siadł do oczekującej karetki, mającej ich zawieźć do gmachu sądowego.

W drodze zachował się nad podziw spokojnie. Usiadł w kąciu i milcząc toczył w około bliszczącymi oczyma. Lecz kiedy dojeżdżali do miejsca przeznaczenia i karetka zatrzymała się przed gmachem sądowym, zdawało się, że Barykada teraz dopiero uzmysłowił sobie jasno, co go czeka, gdy przestąpi próg ten. Powstał nagle i z pięściami wyciągniętymi przed siebie, skoczył naprzód, rozstrząsając głową wszystkich, co stali na jego drodze. Z piersi jego wydarł się okrzyk zwycięski:

— Naprzód przyjaciele! Do wolności! Śmierć albo wolność!

Już trzech dozorców potężnem uderzeniem pięści powalił na ziemię, pozostający obokoczyli go kołem i zawiązała się śmiertelna, dzika walka. Nagle Barykada wypadł, jak kula rozpędzona, z zaciśniętą głową i wielkimi susami, rozdzielał po drodze wściekłe uderzenia pięści, wysunął się na ulicę, pędząc przed siebie.

W tej samej chwili z przeciwnej strony nadszedł szef policyi, prowadzący za sobą Luizę Rieux. Ujrawszy uciekającego apasza, nie myśląc o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża, podbiegł ku niemu, chcąc mu zabiedz drogę. Apasz pochylił się niżej jeszcze, zebrał się jak tygrys do skoku i runął na piersi urzędnika. Tenże osunął się na ziemię, nie wydawszy nawet najłżejszego jęku, tylko z ust jego potoczył się strumień krwi zmieszanej z pianą. Dozorcy rzucili się na ratunek, podnieśli go i szybko zanieśli na najbliższą stację ratunkową.

Barykada tymczasem, już nie niepokojony przez nikogo, sunął jak strzała ku miastu i wkrótce zniknął w tłumie ulicznym.

Luiza de Rieux, która była świadkiem całego zajścia, stała teraz pod gmachem sądowym zmieszana i wylekniiona, nie wiedząc, co z sobą uczynić. Wkońcu przekonawszy się, że nikt na nią uwagi nie zwraca, skręciła wolno w boczną ulicę, kierując się w stronę miasta.

Widmo.

Luiza Rieux była więc wolną! Stało się to tak nagle i niespodziewanie, że nie mogąc sobie zdać sprawy z właściwego stanu rzeczy, długą chwilę jak ogłuszona błądziła po ulicach bez celu i bez myśli.

Gdy oprzytomniała cokolwiek, ogarnął ją wielki niepokój. Tak, była wolną, rozumiała to teraz, lecz jakże użyje tej wolności, gdzie pójdzie, aby znowu nie popaść w ręce policyi. Wszak ten urzędnik ostrzegł ją, że czeka ją teraz zamknięcie w domu poprawy. A może to potrwać całe trzy lata, aż do dnia jej pełnoletności. Lękała się również spotkać ojca w tej dzielnicy, gdzie mieściło się ministerstwo wojenne, a to spotkanie równałoby się także więzieniu.

Przedewszystkiem należało pomyśleć o jakimś, choćby tymczasowem schronieniu, gdzie spokojnie i bezpiecznie będzie mogła obmyśleć cokolwiek. Ale do tego potrzebowała pieniędzy. Udała się więc najprzód do zastawniczego banku miłosierdzia i tam wzamian za krzyżyk złoty pozostawiony, jedyną pamiątką wyniesioną z domu, otrzymała dziesięć franków, które pozwoliły jej żyć jako tako przez dni kilka. Ale wkrótce i to skromne schronienie opuścić musiała i jednego ranka wyszedłszy na ulicę zrozpaczona i głodna, postanowiła skorzystać z danego jej przez matkę Franciszkę polecenia i odszukać markizę de Kermor.

Udała się więc na ulicę Beotic i wkrótce stanęła przed pałacem. Ale na widok tego wspaniałego budynku, otoczonego pięknym ogrodem, opanowała ją taka nieśmiałość, iż nie miała odwagi podnieść ręki do dzwonka, wiszącego przy bramie.

Wybawiła ją z kłopotu sama markiza de Kermor, powracająca ze mszy porannej z pobliskiego kościoła. Uderzyło ją przygnębienie i bladeść malująca się na twarzy młodej dziewczyny, stojącej pod jej pałacem i domyślając się, że przyprowadziła ją tu nędza lub zmartwienie jakieś, podeszła do niej z dobrotliwym uśmiechem na ustach i zapytała łagodnie: — Czy szukasz kogo w tym domu, moje dziecko? — Pani markizy de Kermor! — odparła Luiza, wyciągając z torebki bilecik dany jej przez matkę Franciszkę.

— Ten bilecik do mnie jest pisany, jak widzę? — rzekła markiza, biorąc go z jej ręki. — To ja jestem markizą de Kermor, czy masz mi co do powiedzenia, moje dziecko?

— Tak jest, pani markizo — odpowiedziała Luiza, czerwieniąc się ze wzruszenia — przychodzę z polecenia matki Franciszki.

— Polecenie to wystarcza mi zupełnie, choć za mną, moje dziecko.

Pani de Kermor weszła do ogrodu i bocznymi, małymi drzwiami wprowadziła młodą dziewczynę do pałacu.

Znalazłszy się z nią w swoim buduarze, markiza, jak zawsze powodowana subtelną delikatnością, nie wypytywała Luizy o przeszłość jej i rodzinę, lecz tylko poinformowała się co do rodzaju jej pracy i zdolności.

— W tych dniach odwiedzę matkę Franciszkę — zakończyła rozmowę — i zostawię u niej zlecenie dla ciebie, moje dziecko.

Mówiąc to otworzyła szufladę biureczka, szukając w niem czegoś, lecz widocznie niezadowolona, lekko brwi marszcząc, niecierpliwie przycisnęła guzik dzwonka elektrycznego, znajdującego się opodal.

Wszedł służący, czekając na rozkazy.

— Poproś tu pana Delrue — rzekła markiza. Luiza na dźwięk tego nazwiska doznała silnego wstrząśnienia. To przecież było nazwisko, które słyszała wymówione owej pamiętnej nocy na zabawie

maskowej, tej nocy kiedy ją i Janinę le Brenn zaaresztowano i odwieziono na posterunek policyi! Czyżby to mogło być możliwe, żeby ten człowiek znajdował się w pałacu i był znanym markizie de Kermor?

W tej chwili drzwi się otworzyły i do buduaru wszedł Andrzej Delrue. Luiza poznała go i instynktownie odwróciła się twarzą do okna.

— Pani markiza pragnie ze mną mówić? — zapytał grzecznie.

— Tak, panie Delrue. Kasa moja jest próżna.

— Mam przy sobie tysiąc franków — odpowiedział Delrue — Czy ta suma będzie wystarczającą dla pani markizy?

— Zupełnie wystarczającą. Dziękuję panu.

Pani de Kermor wzięła podane sobie banknoty i raz jeszcze otwierając szufladę biurka, z której do była dość dużą sakiewkę, rzekła drżącym cokolwiek głosem:

— Niech pan to zabierze, panie Delrue. Proszę zwrócić te pieniądze wiadomej panu osobie, jak tylko ją pan zobaczy.

— Zdaje mi się, że to dziś jeszcze nastąpi, pani markizo.

— To bardzo dobrze. Raz jeszcze dziękuję panu za tę przysługę, panie Delrue.

Andrzej skłonił się głęboko i wyszedł pod wrażeniem jakiegoś nieprzyjemnego uczucia. Widok kobiety, siedzącej przy oknie w buduarze markizy, obudził w nim niepokój i zmieszanie.

— Zaczynam się byle czem denerwować — starał się uspokoić — Muszę koniecznie zmienić tryb życia i wyjechać. Nie mogę przecież tak żyć dalej w ciągłej trwodze i gorączce. Zdaje mi się, że znowu zobaczę Luizę! Dzieciństwo doprawdy! Luiza jest w więzieniu i nie prędko z niego wypuszczoną zostanie. A może ojciec postarał się o jej uwolnienie? Jeżeli to ona, to co znaczyć może jej obecność w pałacu? Czy znowu nowe jakie nieszczęście wisi nademną?

Silnie zdenerwowany i zaniepokojony, Delrue zamknął się w w swoim gabinecie i zabrał się do roboty.

Tymczasem markiza po wyjściu sekretarza odłączyła jeden banknot od całej paczki i uśmiechając się życzliwie, podała go młodej dziewczynie. Luiza z rumieńcem na twarzy przyjęła go niezgrabnie, nie wiedząc, jak ma dziękować markizie za okazaną jej względność.

Na razie wystarczy ci to — rzekła pani de Kermor — a za trzy dni pamiętaj mnie znowu odwiedzić, moje dziecko. Luiza silnie zmieszana zdobyła się wkońcu na kilka słów podziękowania, jednakże na zaproszenie markizy nie odpowiedziała twierdząco. Czuła dobrze, że do tego domu, w którym znajduje się Andrzej Delrue, powrócić nie może. Był jeszcze i inny powód. Pani de Kermor uda się z pewnością do matki Franciszki, aby zasięgnąć bliższych o niej informacji i tam dowie się, że jej protegowana uciekła z pod opieki policyi dzięki tylko przypadkowi. Gdyby nie napaść apasza na urzędnika, który ją prowadził, znajdowałaby się obecnie jeszcze w więzieniu.

Aby zrozumieć straszną nienawiść, jaką szarpała Luizą na widok Andrzeja Delrue, trzeba by przeżyć z nią te wszystkie cierpienia i upokorzenia, które ją dotknęły od dnia zerwania z nim. Teraz czuła, że już dłużej nad sobą zapanować nie potrafi. Było to ponad jej siły. Wszyscy zwrócili się przeciw niej. I społeczeństwo całe, które karało ją dotkliwie za chwilę słabości i nieświadomości.

Nie wiedziała teraz, w którą zwrócić się stronę. Była pozostawiona samej sobie, bez rady życzliwej i wyrozumiałej, bez opieki. Tylko jedna śmierć mogła ją wybawić z tego zaczerowanego koła nieszczęść i smutku. Tak, ale jeżeli ona zginąć musi, to i tamten żyć nie powinien! Ten, który ją doprowadził do tej ostateczności. Wiedziała już teraz, gdzie go szukać.

Raz jeszcze z głęboką nienawiścią w roziskrzonych oczach spojrzała na dom, który ukrywał Andrzeja Delrue i odeszła powoli w stronę ulicy tzw.: Horacego. Zatrzymała się przed magazynem broni. Na wystawie leżały rzędem ułożone różne rodzaje nowych, świecących rewolwerów. Weszła do sklepu i spokojnie, tłumacząc, że broń ta może jej być pomocną w odludnej wsi, w której mieszka — wybrała niewielki rewolwer o sześciu strzałach. Ale kiedy znowu znalazła się na ulicy i usiadłszy na ławce obmyślała plan działania, gorączkowe podniecenie i pragnienie zemsty odbiegało ją stopniowo.

(Dalszy ciąg nastąpi).